

Staram się nie odkładać życia na później

Ze skrzypaczką Joanną Kaczorowską, rozmawia Izabela Barry.

Z Joanną Kaczorowską spotykam się w Starbucks przy 34 Street. Jest sobotnie październikowe popołudnie. Obie jesteśmy spóźnione. Joanna odgarnia z twarzy burzę blond włosów i oświadcza, że za pięć minut musi iść do Javits Center, gdzie ma konferencję. Ale JUŻ o dziesiątej wieczorem będzie wolna, więc może przybiec pod Avery Fisher Hall, żeby złapać mnie wychodzącą z koncertu filharmoników nowojorskich. Siedem godzin później wchodzimy do wciąż o tej porze zatłoczonej kawiarni na przeciwko Lincoln Center, gdzie nawet w nocy podają naleśniki. Joanna ze śmiechem przyznaje się do swojej gastronomicznej słabości... Zastanawiamy się głośno, ile lat minęło od naszej pierwszej rozmowy. Pięć, sześć? Joanna była wtedy świeżo po obronie doktoratu i zaczynała pracę w Stony Brook University.

– W ubiegłym sezonie muzycznym spotkałyśmy się kilka razy przy okazji serii koncertów wykonywanych przez stworzoną przez Ciebie grupę muzyków.

Grupa New York Chamber Musicians to mój jednoosobowy pomysł, który narodził się pod wpływem wydarzenia, które mnie bardzo poruszyło. Była to nagła śmierć mojej ukochanej profesor skrzypiec, Jadwigi Kaliszewskiej, fantastycznej osoby, mentorki, która była dla nas, swoich wychowanków, jak matka. Nie spodziewaliśmy się, że tak szybko ją utracimy. Dotarło do mnie wtedy, że wszystko może się zdarzyć, należy więc żyć intensywnie i spełniać swoje marzenia. Poszłam więc do mojego serdecznego przyjaciela, Gilberta Kalisha i wiedząc jak potężną osobą jest on w muzyce klasycznej zapytałam, czy zagra w organizowanej przeze mnie serii koncertowej. To było moje marzenie: Grać muzykę kameralną, muzykę, którą sama lubię i wybieram; grać ją z ludźmi, którzy są artystami światowej sławy. Ale chciałam jeszcze czymś wzbogacić ten pomysł – wymyśliłam, że każdy koncert będzie miał jakiś cel charytatywny, związany z dziećmi. Wspomagałiśmy organizację działającą na rzecz dzieci z autyzmem, zbieraliśmy pieniądze na stypendia dla dzieci z biednych rodzin – było tych projektów kilka. Spotkamy się z publicznością znów w kwietniu przyszłego roku, a więcej koncertów jest zaplanowanych na jesień 2014.

– Kim są członkowie Twojego zespołu kameralnego?

Zaprosiłam do uczestnictwa moich kolegów, z którymi pracowałam razem w Carnegie Hall, czyli muzyków młodszego pokolenia, ale zapraszam także muzyków o ustalonej pozycji i sławie. Podstawą jest kwartet: pianista, wiolonczelista, altowiolinista i ja – grająca na skrzypcach. Do tego zespołu, w zależności od repertuaru ustalonego na dany koncert, zapraszamy dodatkowych muzyków – to może być kontrabas, dodatkowe skrzypce, czy jakikolwiek inny instrument. I tutaj staram się, by zaproszoną osobą był ktoś znany.

– Jakie cele postawiłaś sobie zaczynając projekt, który wymagał przecież niezwykle nakładów energii?

Celów było kilka. Przede wszystkim chciałam, by były to koncerty przyjazne ludziom; bez sztywności i napuszenia. Pierwszym krokiem było znalezienie takiej sali, w której nie ma sceny. Chciałam być na jednym poziomie z publicznością, zejść do parteru. Taką salę znalazłam

w nowo wybudowanym The DiMenna Center for Classical Music. Dzięki temu mogłam nawiązać z publicznością bliższy kontakt. Nie chodziło tylko o to, by publiczność nas słuchała, kiedy gramy. Chodziło o dialog, i temu służyło także to, że przed koncertem nie chowaliśmy się w garderobach, ale wychodziliśmy do foyer i już tam rozpoczynaliśmy rozmowę z naszymi gośćmi. Wymyśliłam też, że po koncercie siadaliśmy naprzeciw słuchaczy i dzieliliśmy się naszymi refleksjami na temat dopiero co wykonanych utworów. Nie chodziło o historyczne, czy teoretyczne wykłady, ale o to, by opowiedzieć o własnych odczuciach, o własnych odniesieniach. Innym celem było to, by najpiękniejsze, najcenniejsze i najbardziej ukochane przez publiczność utwory, na przykład „Pstrąg” Schuberta, albo Kwartet Fortepianowy Brahmsa powiązać z muzyką współczesnych, żyjących kompozytorów. Mało tego: nie tylko gramy taką muzykę, ale zapraszamy kompozytora na koncert i prosimy go, by także rozmawiał z publicznością, opowiedział o czym jest jego utwór, jak go słuchać. W ten sposób ludzie, którzy nigdy nie przyszliby na koncert muzyki współczesnej dostają jej próbkę wraz z małym komentarzem. Troszkę więc oszukujemy naszych gości (śmiech). Mówimy: będzie Schubert, będzie Brahms, i na końcu dodajemy: będzie także Gabriela Lena Frank, młoda amerykańska kompozytorka. Publiczność nie wie, że Gabriela wyjdzie do niej i powie: „w tym utworze dźwięki naśladują ludowe instrumenty peruwiańskie, przywołuję je, ponieważ stanowią część mojej tradycji”. A kiedy słuchacze to usłyszą, bariery ograniczające rozumienie muzyki współczesnej zaczynają zniknąć. A przynajmniej mamy taką nadzieję. Na czterech koncertach, które zorganizowałam, pojawiło się czterech świetnych współczesnych kompozytorów. Każdy z nich prezentował inny rodzaj muzyki, każdy z nich został świetnie przyjęty przez publiczność.

– No i nie zapominajmy też o charytatywnym celu koncertów.

Na każdym koncercie był obecny przedstawiciel organizacji, dla której zbieraliśmy pieniądze. On miał swoje pięć minut, najczęściej w przerwie koncertu, by przekonać ludzi do złożenia donacji i wspomnienia działalności. Do programu dołączaliśmy też informację na ten temat.

– Refleksja na temat pierwszego sezonu?

Ach! (śmiech) To była prawdziwa szkoła życia, bo przecież wszystko robiliśmy sami: od ustawiania krzeseł przed koncertem do sprzątnięcia po nim, od organizowania budżetu, po produkcję zaproszeń, od układania kwiatów do pakowania instrumentów. Żaden kurs, żadna szkoła tego nie nauczy. Pomyślałam sobie: Chcesz, Joasiu, zarządzać instytucją kultury? Zarządzaj! Ale nie będzie to polegało na rozgrywaniu paluszków przed koncertem i zastanawianiu się, czy szminka na ustach jest równo nałożona, a raczej na bieganiu i sprawdzaniu czy wszystko jest w porządku!

– Oprócz organizowania serii koncertowej jesteś profesorem w Stony Brook University. Jak Cię znam i tam, oprócz „normalnej” pracy pełnisz jeszcze dodatkowe funkcje?

Aż za dużo! (śmiech) Pracę w Stony Brook dostałam zaraz po ukończeniu szkoły w Carnegie Hall. Ponieważ tam kształcono nas pod kątem administrowania in-



▶ Joanna Kaczorowska: Najważniejsza jest miłość i szacunek do samego siebie.

FOTO: ARCHIWUM JOANNY KACZOROWSKIEJ

stytucjami kulturalnymi, od razu przypisano mi funkcję dyrektora studiów licencjackich do spraw wykonawczych. Ta funkcja to opieka nad koncertami, konkursami, egzaminami wstępnymi i wszystkimi recitalami oraz kontakty z asystentami. Oprócz tego jestem regularnym wykładowcą skrzypiec i muzyki kameralnej. Pomagam także wybitnemu wiolonczeliście Davidowi Finckelowi, który jest dyrektorem The Chamber Music Society of Lincoln Center przyjeżdża do nas, by prowadzić kursy *career development*. To właśnie David Finckel był jedną z najważniejszych osób, które pomogły mi w rozpoczęciu mojej kariery muzycznej w Ameryce, mam więc teraz okazję „odpracować” tę pomoc, co zresztą czynię z największą przyjemnością.

– Które z Twoich rozlicznych zajęć przynosi Ci największą satysfakcję? Bo chyba nie administracja?

Hmm... Jako horoskopowy Bliźniak nie mogłabym się trzymać tylko jednej rzeczy. Myślę, że spełniam się we wszystkim, co robię. Oczywiście najbardziej pochłania mnie muzyka, ale cały czas szukam czegoś nowego. Na przykład ostatnio Nowy Dziennik zaproponował mi pisanie raz na miesiąc do Przeglądu Polskiego i właśnie ukazał się tam mój czwarty artykuł. To przegląd wydarzeń życia kulturalnego. Bardzo mnie cieszy ta współpraca.

– Ostatnio można Cię oglądać w TED Talk.

Tak! Zaproponowano mi udział w konferencji TED, która odbywała się na naszym uniwersytecie. Konferencje TED polegają na tym, że ich uczestnicy dostają osiemnaście minut i mogą dać krótki wykład na dowolny, tzn. związany z ich profesją temat. Było to niezwykle przeżycie, a mówiłam tam o własnej ścieżce życia, przede wszystkim o tym, jak ważne jest posiadanie mentora, który kształtuje dziecko, małego człowieka w taki sposób, by uczyć go pasji i odpowiedzialności. Opowiadałam trochę anegdotycznie, wspominając mojego dziadka, który próbując uczynić ze mnie skrzypaczkę powycinał wszystkie drzewa w ogrodzie, na których chowałam się, kiedy przychodziła pora ćwiczeń (śmiech). Opowiedziałam o trójce ludzi, którzy nade mną pracowali i dzięki którym jestem tu, gdzie jestem.

– Jesteś osobą, która rozsądza energię, która kipi pomysłami, a przy tym jesteś też osobą niezwykle twórczą.

Co jest dla Ciebie najważniejsze w życiu?

Miłość i szacunek! Miłość pojęta wielowymiarowo: po pierwsze ta, najlepiej nam znana, którą obdarzamy naszą rodzinę i której definicja jest dla nas oczywista, ale również miłość i szacunek do samego siebie, pojęta na wielu poziomach. Jako dbałość o własne ciało i ducha, czyli jedzenie i picie tego, co nam daje jak najlepsze warunki do życia, bycia i funkcjonowania w jak najlepszym zdrowiu. Nie zdajemy sobie często sprawy jak ważna jest również miłość do samego siebie – poprzez obdarzanie siebie pozytywnymi doświadczeniami i myślami na co dzień. Znam bardzo wielu ludzi, którzy są swoimi własnymi wrogami. Słyszę często: „jestem beznadziejny”, czy „a kto by mnie tam w ogóle chciał za przyjaciela czy partnera” lub „nie umiem tego, czy tamtego”. Niestety, mamy umysły zaśmiecone wieloma negatywnymi myślami na swój temat i na temat swojego otoczenia. A przecież każda nasza myśl to energia, i tak jak cały wszechświat, o czym mówi oficjalnie obecnie fizyka kwantowa i najznakomitsze umysły wszechczasów, wszyscy jesteśmy stworzeni z tego samego: z ciągle wibrującej energii... Proszę przeczytać fantastyczne książki jednego z moich ulubionych autorów, znakomitego fizyka kwantowego, specjalisty od muzycznie brzmiącej teorii strun w fizyce kwantowej, Briana Greene’a „Elegancki wszechświat” czy „Struktura Kosmosu”, aby przekonać się, że wszystko jest energią i wszyscy jesteśmy z tego samego zbudowani. Więc skoro jesteśmy wszyscy z tego samego zbudowani, jesteśmy energetycznie połączeni we współzależności z sobą warto zastanowić się nad tym, jak traktujemy samych siebie na co dzień, jak traktujemy naszą rodzinę, przyjaciół, innych ludzi i zwierzęta napotkane przez nas w każdym dniu. Bo przecież każdy dzień to nowa jakość, z której składa się nasze życie. Staram się zatem nie odkładać życia na później. Uczę się codziennie i od nowa kochać i być pozytywnie nastawiona do siebie, moich bliskich i do wszystkich, których napotykam na swojej drodze, bo wierzę, że uczucia, myśli i emocje mają zasadniczy wpływ na moje życie i na środowisko, w którym żyję, pracuję i mieszkam. Ważne jest, byśmy budowali przyjazny dla nas świat. Myślę, że jesteśmy stworzeni, by kochać i że to jest główny mechanizm zakodowany w naszym DNA i w naszej świadomości i podświadomości. Naszym zadaniem, jest po prostu używać tego mechanizmu na co dzień.

○